

Czerwik Nieznana satyra polska
z XVII wieku.



6968

NIEZNANA SATYRA POLSKA

Z XVII WIEKU.

I.

Wiedza nasza o literaturze ojczyźstey XVII wieku zamyka się w granicach nader szczupłych i nieśmiało zakreślonych. Obracamy się zawsze jeszcze w sferze utartych opinij i przedawnionych ogólników, dotyczących niewielkiej grupy wybitniejszych pisarzy, którzy mieli to szczęście, że na nich zwrócili pilniejszą uwagę ruchliwi uczeni z pierwszej połowy naszego wieku, albo, co najważniejsza, zamiłowani w starych pismach wydawcy na wzór Turowskiego. Powstała w ten sposób owa znana powszechnie, skromna lista nazwisk i tytułów dzieł, uposażonych raz na zawsze prawami obywatelstwa w literaturze; i tę powtarza się odtąd stale, bez znaczącej odmiany, we wszelkiego rodzaju podręcznikach. Wybór był zrobiony dosyć szczęśliwie, skoro się tam znalazły nazwiska Opalińskiego, Kochowskiego, Morsztynów i t. d.; szkoda tylko, że z tej garstki uprzywilejowanych zrobiono u nas jakby kastę indyjską, do której nowym członkom uzyskać dostęp udaje się tylko z trudnością.

A przecież jest z czego, doprawdy, wybierać. Bibliografie nasze wykazują całe szeregi nazwisk pisarzy, brzmiących obco dla najbardziej czytanych miłośników literatury minionych wieków, i całe stopy pism wszelkiego rodzaju bezimiennych, o których treści i wartości nie mamy prawie żadnego pojęcia. Jedne zarejestrowano po prostu, przejrzawszy je tylko pobieżnie, drugich nie próbowano nawet odczytać, o innych nie było — co gorsza — do niedawna wiadomości, że istnieją. I oto całe rozległe pole, zaniedbane i opuszczone, które się prosi pod uprawę i nad któ-

rem popracować warto i należy. Robota jest wdzięczna i wcale łatwa: nie trzeba szukać długo, ani szperać, lecz tylko przegłądać i czytać to, co się samo nasuwa pod rękę; bo materiału wszędzie podostatkiem, a orientować się w nim łatwo, zwłaszcza teraz, kiedy mrówcze prace Estreichera dostarczyły nieocenionego po ciemnych przedtem labiryntach naszego piśmiennictwa przewodnika. Plon nie zawsze nagrodziłożone trudy, ale, chociaż najskromniejszy, zawsze będzie przez to samo pożyteczny, iż usunie jeden z tych nieprzeliczonych znaków zapytania, któremi pokryte są karty naszych podręczników naukowych.

Literatura poetyczna polska w XVII wieku w innych działach przynajmniej co do ilości utworów, ogłoszonych drukiem, wcale bogata, w dziale pism satyrycznych przedstawia dziwne ubóstwo. Jest wprawdzie Opaliński: ale jeden satyryk na wiek cały, to cokolwiek za mało, zwłaszcza kiedy czasy są tak przychylne rozwojowi tej gałęzi poezji, jak okres dziejów Polski, zaczynający się rokiem 1648.

Bo rzecz to wiadoma i uznana, że rozwój literatury satyrycznej idzie powszechnie w parze z pochodem wstecznym narodu na drodze moralnego postępu i święci epokę swej świetności zazwyczaj w czasach upadku obyczajów i poczucia obowiązku i ucziwości w narodzie: im więcej przywar i wykroczeń, tem większa potrzeba nagany, przestrogi i nauki, któreby sprawców złego i błędzących na prawą sprowadzały drogę. Nie dziw więc, że nasz najlepszy po koniec XVII wieku satyryk, Krzysztof Opaliński, chwycił za pióro w ponurej dobie wojen kozackich za pierwszych lat rządów Jana Kazimierza. Wszystko, co było brzydkie i złe w tej Rzeczypospolitej, co było w niej poziome i niegodziwe, co na jej ciele czerwieniło się trądem lub zgnilizną traciło, — musiało w tej smutnej chwili wewnętrznego rozstroju, w tem ogólnem zamieszaniu i rozprężeniu, wystąpić na jaw o wiele wydatniej i zarysować się w sposób bardziej dotykalny. Ta łuna pożogi, która ogarnęła ziemie polskie od końca do końca, rzuciła nietylko właściwe światło na społeczeństwo, dając poznać ludzi, jakimi byli w istocie, w gruncie sere i skrytości ducha, — ale cisnęła także snop jaskrawych promieni na przeszłość, tak, że narodowi, pogiębionemu nędzą, klęskami, „zarazą, ogniem i wojną“, stanąć musiały przed oczyma jasno te całe szeregi splecionych z sobą usterek i błędów, które popełnili ojcowie, a od których oni, potomni, nie chcieli czy nie umieli odstąpić, i cały zbiór tych rozlicznych nadużyć i przewinień, które — nieuznane, nie

naprawione, i owszem, pomnożone — z nieubłaganą loiką mściły się na gnuśniejącem dla sprawy publicznej obywatelstwie.

Lecz jeśli tak było w istocie, jeżeli nieszczęsne wojny kozackie, grozą i przerażeniem napełniając wszystkich i wszystko, wstrząsnęły potężnie całym narodem i nie tylko zraniły po wierzchu jego ciało, ale dostały się do łona, zaszarpały samymi wnętrznościami, o serce i mózg potrafiły, tak że aż sumienie się w nim zbudziło i zebrało do gromkich wyrzutów, — to czyż podobna, aby w całym stosie pism nazwanych i bezimiennych, ogłoszonych w smutnym okresie przełomu dziejowego, nie znalazł się żaden inny literacki wyraz tego rachunku sumienia, jaki choć część narodu odbyć z sobą musiała, oprócz tego jednego zbioru *Satyr*, z którymi wystąpił Krzysztof Opaliński? Czy podobna, aby ten jeden głos, dzielny i donośny, co prawda, ale sztuczny i nienaturalny, nie miał żadnego wtóru w czasie, kiedy u nas pisano dużo i drukowano bez miary i bez wielkich skrupułów co do treści i wartości literackiej poronionych często nieszczęśliwie płodów ducha?

Tak źle nie było, bo i być nie mogło, skoro obok Opalińskiego wystąpili ludzie z takim talentem pisarskim, jak Morsztyn i Kochowski. W samej rzeczy między pismami obojdwóch poetów nie brak utworów, które, jakkolwiek podciągnięte pod działy liryków czy pieśni, są oczywistymi satyrami. Tak Morsztyn pisze rzecz: *Na sejm warszawski*, tak Kochowski w swoich *Lirykach* uderza na stroje i bielidła białogłowskie, na nieporównany zbytek bankietów polskich, na marnotrawstwo młodzi, na upadek animuszu i karności wojskowej i t. p.; ale są to wszystko tylko roboty dorywcze, drobne, niknące w mnóstwie poematów treści erotycznej, epigrammatów i wreszcie fraszek.

A więc nic nie pozostaje, jak zapuścić się na tę ziemię nieznaną, którą pokrywa cały las pism bezimiennych. Nie trzeba błąkać się długo: nieoszacowany podręcznik Estreichera już na pierwszych kartach spisów bibliograficznych do drugiej połowy XVII wieku wskazuje na dziełko, które na pierwszy rzut oka musiało zwrócić na siebie uwagę czytelnika samą oryginalnością tytułu. Tytuł ten brzmi, jak następuje (u Estreichera skrócony, ale który my podajemy w całości):

„Coś nowego
pisanego
Roku tysiąc sześćsetnego
Pięćdziesiątego wtórego.

Drukowano w Koziej głowie,
Kiedy miesiąc był na nowie,
Kosztem zaś pana jednego
Z bractwa Piławieckiego;
A drukarnię zaś zakryto,
Boby drukarza zabito“.

Otóż i napis, co się zowie, dyplomatycznie pomysłany. Bo naprzód zaraz u wstępu zagadka. To zwraca uwagę i podnieca ciekawość. Nazwisko autora ukryte, miejsce drukowania zatajone i zapowiedź, że książka przyniesie „coś nowego“! To dosyć, aby zachęcić do odwrócenia karty naczelnej.

Lecz i bez tego odgadnąć nie trudno już z samego brzmienia napisu, z jakiego rodzaju utworem mamy tu do czynienia. Będzie to albo paszkwil albo satyra. Jeśli to „coś nowego“ — to paszkwil, w takim razie przymiot nowości odnosi się niezawodnie do treści, a nie do formy utworu, bo paszkwilów mieliśmy zawsze dosyć i wiek XVII nie poskarży się z pewnością na brak pod tym względem; jeżeli to satyra, — to warto zobaczyć, co też „nowego“ umiano w r. 1652 powiedzieć po gadatliwym i rozwlekłym Opalińskim.

Zresztą czy tak, czy owak, historyk musi zajrzeć do tego pisma koniecznie. Paszkwil i satyra nie znajdują równych względów u badacza literatury: pierwszy pominięty zostanie przezeń milezeniem lub pobieżną wzmianką, druga skupi na sobie wyjątkową uwagę. Inaczej z historykiem, który bączy głównie na treść, a mało zważa na formę. Dla niego jeden i drugi rodzaj utworu może posiadać wartość wysoką, niekiedy pierwszorzędną, bo jeden i drugi, stosownie i umiejętnie użyty, może posłużyć za dokument historyczny. Co prawda, i jako źródła historyczne, oba te rodzaje pism nie stoją z sobą na równi. Z paszkwilu tak samo, jak z satyry, można zaczerpnąć dużo światła na rozjaśnienie przeszłości: ale promienie pierwszego, niepewne i rozstrzelone, oświecają zazwyczaj tylko pewne jednostki i pewne ograniczone sprawy, gdy tymczasem promienie drugiej, jasne i skupione, rzucają przeważnie blaski na masy, na całe społeczeństwa, a przynajmniej na jakieś większe warstwy czy grupy ludzi, związanych razem wspólnością pewnych cech zewnętrznych czy wewnętrznych.

A więc i dla dziejopisa będzie to rzeczą wcale nieobojętną, dowiedzieć się, do jakiej kategorii nasze *Coś nowego* należy. Przypatrzmyż się wreszcie z bliska temu pisemku.

Rzecz jest niewielka, bo zajmuje zaledwie dwadzieścia kilka stronnie (4°). Wystarczy przerzucić pierwsze karty, aby się przekonać, że co do formy zbywa jej na wszelkiej jednostajności. Ustępy prozaiczne mieszają się z wierszowanymi: wśród wierszowanych znowuż rozmaitość co do rodzaju wiersza, jego rytmu i rymu. Proza zajmuje w każdym razie miejsce podrzędne i służy tylko jako łącznik dla luźnych ustępów poetycznych. Wiersz jest dwojaki: trzynastozgłoskowy biały (wyjątkowo tylko rymowany) i stale rymowany ośmiozgłoskowy.

Jakaż treść zawarta w tej oryginalnej formie? I pod tym względem przejrzenie pierwszych kart usuwa wszelkie wątpliwości. Mamy przed sobą utwór na wskrós satyryczny. Przedmiotem jego jest Polska, jej stosunki społeczne i obyczajowe w połowie XVII wieku, — powiedzmy dokładniej — w pierwszych czterech latach rządów Jana Kazimierza. Autor nie krępował się widocznie żadnym ściśle określonym planem, bo pisze po trochę o wszystkim, zatrzymując się nad jednym tylko przedmiotem dłużej i poświęcając mu ustęp największy. Tym przedmiotem jest klęska piławiecka, której dzieje, skreślone ostrem piórem ironii i szyderstwa, zajmują środkową część utworu.

Ale i na inne sprawy znalazło się miejsca po trochę. Książka wyszła w r. 1652, a już występuje w niej i posełupicki i Radziejowski i cała głośna jego sprawa. W początkowych ustępach dotknięte zostały wszystkie prawie ważniejsze wady charakteru polskiego, w końcowych nie brak nawet rozpraw na temat wad ogólnoludzkich. A wszystko to pisane tak, że można się do badać gruntu, z jakiego wyrosło: nie nie wisi w powietrzu, nie nie chwieje się w nieokreślonych sferach wyobraźni autora, bo zawsze z za słów przeziara oparcie jakieś i realna podstawa, zręcznie wynalezione w najbliższej przeszłości, w ostatnich wydarzeniach i na najświeższych przykładach.

Lecz zamiast rozpisywać się nad właściwościami utworu, wolimy zapoznać czytelnika od razu szczegółowo z jego treścią, jakoteż z cenniejszymi i bardziej charakterystycznymi ustępami: niech rzecz mówi sama za siebie. Tu tylko musimy jeszcze uprzedzić jedno pytanie: dlaczegośmy nazwali książeczkę *nieznana*, skoro wyszła z druku już dwa wieki temu z okładem?

Musimy przyznać, że słowo, użyte przez nas, było nieco za szerokie i za śmiałe. Nieznana jest nasza satyra o tyle, że nikt prawie nie zwrócił na nią dotąd uwagi, a wzmianki o niej nie spotykaliśmy w żadnych podręcznikach, ani studyach literackich —

z jednym wyjątkiem. Poświęcił jej mianowicie słów kilka pracowity Juszyński w swoim *Dykcjonarzu poetów polskich* (T. II, str. 397), gdzie zarazem znajdujemy częściowe wyjaśnienie, dlaczego o książeczce, z wielu względów zasługującej na lepszą pamięć, tak powszechne panowało do dzisiaj milczenie. Oto należała ona już w pierwszej połowie bieżącego wieku do największych rzadkości bibliograficznych.

Wobec tej rzadkości druku jest rzeczą potrzebną i bardzo na czasie odświeżyć jego pamięć i zachować przez obszerniejsze streszczenie od zatraty dziełko, któremu nie zbywa — jak wykazemy — na stronach dodatnich, i które, jeśli nie jako utwór literacki, to jako wcale ciekawe, a dotąd niezucyte źródło historyczne nie bez przyjemności i pożytku odczytane będzie przez każdego, ktokolwiek zajmuje się dziejami Polski XVIIgo wieku i pragnie wyrobić sobie niejaki wyobrażenie o jej stosunkach wewnętrznych i, że się tak wyrazimy, domowych, we wskazanym powyżej okresie.

Jaka jest wartość literacka naszej satyry, jakie jej znaczenie dla badacza literatury, a jakie dla historyka dziejów politycznych i społecznych Rzeczypospolitej, kto może być jej autorem i w jakim stosunku pozostaje ona do dzieł znanego powszechnie satyryka Opalińskiego i innych poetów spółczesnych, — nad tem zastanowimy się później, skoro zapoznamy się już z samym utworem w jego najważniejszych częściach.

Nie chcemy uprzedzać wrażeń, ani sądu czytelnika; ale niepodobna nam nie zaznaczyć już z góry choć w kilku słowach, dlaczego wyszczególniamy to bezimienne pisemko nieznanego autora i uznajemy je godnem powszechnej uwagi.

Co do treści zajęło ono nas głównie z przyczyny, że dotyka dwóch spraw pierwszorzędnej doniosłości z dziejów pierwszego pięciolecia rządów Jana Kazimierza, z których jedną wojenną, to jest klęskę piławiecką, omawia szczegółowo, drugą natomiast domową, proces Radziejewskiego, tylko pobieżnie i ogólnikowo. Co do formy znaleźliśmy je o tyle szczególnem, że użyty w satyrycznym utworze wiersz ósmiozłóskowy rymowany jest u nas podobno unikatem (a takim wierszem są właśnie skreślone dzieje samejże klęski piławieckiej).

Z góry też musimy zauważyć, że zdaniem naszym autor nieznaney satyry jest lepszym rymotwórcą, niż Opaliński. Prawda, że pisać wierszem lepszym, niż Opaliński, to nie znaczy jeszcze pisać wierszem dobrym, bo wojewoda poznański władał wpra-

wdzie językiem swoim swobodnie i umiał rozprawić o wszystkim szeroko i wymownie, ale na rytmie się nie znał: poezye jego kuleją, jak wiadomo, pod tym względem najbardziej. Zdarzają się i u niego wiersze gładkie i ładnie zaokrąglone, ale pewnie nie tak często, jak u naszego satyryka. Temu ostatniemu udały się najlepiej ustępy, pisane wierszem ósmiozgłoskowym: trzynastozgłoskowy nierymowany utyka bardzo często, i to nieraz w miejscach wiele zajmujących co do treści. W dalszym ciągu będziemy się starali wskazywać na wszystkie szczęśliwsze fragmenty naszej satyry; lecz dodamy, że dla nas w gruncie rzeczy cała forma zewnętrzna tego utworu ma dosyć podrzędne znaczenie, gdyż chodzi nam głównie o treść, a więc o uwydatnienie tych wszystkich części satyry, które mogą się przydać nie tyle do ocenienia wartości estetycznej dziełka, ile do objaśnienia stosunków społecznych i politycznych w Rzpltej około połowy XVII wieku.

II.

Książeczka rozpoczyna się rodzajem krótkiej przedmowy, napisanej prozą, w której autor tłumaczy wcale dowcipnie, dlaczego utworowi swemu dał tytuł: *Coś nowego*. Ale nie chce za przykładem innych autorów bawić się u wstępu w zapowiadanie tego, o czym ma zamiar pisać. „Przeczytawszy, — powiada — ślubuję, dowiecie się rzetelnie i doskonale. Coś ktoś kogoś z kimsi mówiących wysłuchał, i co mógł słówkiem pogonić, ponotował i wam do czytania podał“.

I potem zaczyna opowiadać — już swoim wierszem białym, — jak to mu „fantazya jakaś przyszła“ koniecznie coś napisać. Przyjaciół usiłuje go odwieść od tego zamiaru, autor obstaje przy swoim, — i w ten sposób zawiązuje się dyskurs, w którym nasz satyryk nie zapomina wystosować kilku uszczypliwych nwag pod adresem akademii krakowskiej i całego cechu literackiego w Rzeczypospolitej.

„Więc i to drukarze

W Krakowie narzekają: tylko minucyje!

A sam ksiądz Starowolski żywi ich na świecie...

— A dla Boga! Wszakże tam jest akademia,

Są Jezuici, mnisi, księża z kapituły,

Czemuż ci nie drukują?

— Bo wszyscy zabawni.

I dalej opisywać ich „zabawy“. Akademicy żyją Arystotelesem i po za nim nie nie widzą; zresztą nie mają czasu na pracę literacką, bo i tak „refekcyi muszą więcej pilnować, niżeli lekcyi“. Jezuitom uczyć nie wolno, więc oddają się medytacyi i usługom duchownym. Inni zakonnicy „subtelnie dysputują i argumentują“ i to „z takim wielkim wrzaskiem, z takim hałasem, z porywaniem, miotaniem, że trój-pot z nich ciecze“; nie dziw, że potem brak im już ochoty do ślęczenia nad papierami i że szukają na dnie kielicha i w sutej strawie wzmocnienia sił i pokrzepienia:

— Wszyscy zgoła zabawni, ksiąg pisać nie mogą.

— Diabłać ich też mało! By te przeczytali,

Co ich przez tyle wieków mądrzy napisali!

— Prawda; lecz jak sytemu żołądkowi pokarm

Coraz inszy smakuje, tak i mądrym trzeba

Odmieniać księgi nowe, bo się już objedli

Starych; a tak ja zechcę wydać coś nowego.

— Cóż masz wzdy wolą pisać?

— Dalibóg, sam nie wiem.

— Nie wiesz?

— Nie wiem, choćbyś mię męczył; ale samo

Przyjdzie to na myśl łaeno; najtrudniejsza pojąć.

Wszak po łacinie mówią: *Porta longissimum*

Itineris.

— Przecież wprzód trzeba wiedzieć, o czem

Pisać, niżeli poczniesz!

— Nie trzeba.

— To trefna!

Trefna, ale zwyczajna: wszak najwięcej tych, co

Więcej, niżli umieją, piszą, a przecie ich

I czytają i chwają!

I oto nowa sposobność, aby do tej trafnej uwagi, którą i w naszych czasach wybornie zastosowaćby można, przytoczyć parę przykładów. Dostało się mianowicie Okolskiemu:

Taki ów mnich, który

„*Orbem Polonum*“¹⁾ wydał, gdzie prócz złej łaciny

I dziecinnych errorów pełne są dyskursy,

W których jeżeli i sam wiedział, co napisał,

Niech ja nie żyję.

— Tento, który herby polskie

Zebrał i opisał?

— Ten. Prawda, że łacina

¹⁾ Dzieło to wyszło w r. 1641 w Krakowie (w 3 tomach).

Zła bardzo i dyskursy głupie; lecz to gorsza,
 Co nam szlachty namnożył nigdy niesłychanej
 I herbów niewydanych. Zapomniał reguły,
 Z której szlachectwo polskie poznać. A ta taka
Desinentia: in, berg, man, bek, ink, en, tyn, ic,
 Ci wszyscy do szlachectwa w Polsce nie mają nie,
 I rzadki który pewny tem przezwiskiem szlacheic;
 Zgoła nie są *generis nobilium*. Wprawdzie
Excipiuntur quaedam, ale bardzo rzadko ..

W dalszym ciągu wspomina autor o tych pisarkach i mowcach, którzy nie hołdują prostocie stylu, lecz przeciwnie siłą się zawsze na wyrażenia jak najbardziej napuszyste i niezrozumiałe, wychodząc z tej wypróbowanej snać w Polsce zasady, że „ten jest dowód mądrej głowy, kiedy jej zrozumieć nie mogą“. A potem zręcznym zwrotem podejmuje znowu tok swych rozmyślań nad wyborem tematu do satyry. Zakłopotany, wzywa na pomoc przyjaciela. Ten ma radę gotową:

Ja ci tak po prostu

Radzę: opisz tę wojnę, co się jeszcze toczy.

— Słusznie się na to zedrgnie, słusznie pióro skoczyl!

— Czemu?

— Bobym uraził.

— To chwalić nie mogę.

— Łgać ani umiem żadną miarą, chociażbym chciał..

Z odpowiedzią na te ostatnie słowa wchodzi nasz satyryk po raz pierwszy na szerokie pole stosunków wewnętrznych w ówczesnej Rzeczypospolitej. W kilku nieco dłuższych ustępach, w których nie odstępuje ani na chwilę od raz przyjętej i szczęśliwie użytej formy dialogowej, uderza na zasadnicze wady charakteru polskiego, na samochwalstwo, na bezładność obrad sejmowych, nadużycia podskarbich, upadek karności wojskowej i t.d.

„Łgać ani umiem żadną miarą, chociażbym chciał“ — usprawiedliwiał się autor przed fikcyjnym towarzyszem. Odpowiedź, którą temu ostatniemu w usta wkłada, jest pełna goryczy:

— Rzeczy łącznej nie umiesz! Na sejmie umiano,

Kiedy wszystkich chwalono, wszystkim dziękowano.

Insza tam.

— Czemu insza?

— Bo ludzie wymowni

W to dobrze wprawieni; druga, z okazji

Płonnych relacyj pleść muszą, gdy dziękują,



Aż słuchać uszy bolą. Ci głową kiwają,
 Ci łokciem się trącając, w chustkę uśmiechają:
 „Księżu Kanclerzu, dziękujcie!“ Jest dyabła za co,
 Trzeba dziękować. — Dziękujcie tam sobie:
 Prędeję wodę z kamienia, niżli z tych dzięk prawdę!
 Takei, jakom enotliwy, bywa. Stąd powiedział
 Dobrze jeden, godnego chwalać: „*Laudarem te,*
Nisi id malis commune esset!“ Teraz enocie
 Inszej trzeba nagrody, gdy niegodnych chwala!

Rozmowa schodzi wreszcie na klęskę piławiecką: bo czyliż można było, rozprawiając o swojskich grzechach i błędach, nie potracić o to smutne rumowisko sławy narodowej, które w roku 1652 jeszcze gorzeć musiało krwawym płomieniem i gryzącym dymem wjadać się w oczy każdego uczciwego żołnierza Polaka? Słusznie powiada autor, że dzień hańby piławieckiej okazał „widok, jaki nie był nigdy, nierządu polskiego, dowód wojennej nieumiejętności, przykład w sprawnych, enych Lachach dzielności i odwagi onej cale zapomnianej“. Przy tem wspomnieniu, którem cały wydaje się poruszony, brak mu własnych słów oburzenia, bo ucieka się do wieszca z Czarnolasu, którego czterowiersz z lekka trawestuje, zastosowując rzecz do świeżego zdarzenia. Bo ta klęska — to także:

Nowa sromota i nienagrodzona
 Hańba Polakom: ziemia opuszczona
 Wszej Ukrainy, w której chłop nasz hardy
 Panuje pełen i gniewu i wzgardy!...

A skoro się raz już poruszyło tę boleśną ranę i zaczęło rozmyślać nad nieszczęściem ojezyny, to już samo przez się narzuca się pytanie, gdzie leży jego źródło i jakie przyczyny tej powszechnej choroby fizycznej i moralnej, której symptomata w ciężkiej próbie wojny domowej wystąpiły tak żywo i gwałtownie? Wzruszenie żalu i wstydu podnieca i rozgrzewa autora; robiąc z narodem rachunek sumienia, unosi się on coraz bardziej, a słowa jego nabierają siły i tej powagi, które płynię ze smutnego poczucia, że się winę złego nosi w samym sobie i że to złe wsączyło w krew wszystkich zarodki śmierci i zgnilizny. Pisarz uderza na sprawców tego upadku tak surowo, że sam się wreszcie powstrzymuje, wkładając w usta przyjaciela słowa: „Ej, daj cię katu, nie mów!“ Lecz odpowiada zaraz:

— Ba i wołać będę,
 Nie tylko mówić, w takim ojezyny nieszczęściu!

Warto się poznać bliżej z tym ustępem satyry. I tutaj jeszcze raz przypomnieć musimy, że chodzi głównie o treść, nie o formę; bo jak wszędzie, tak i tu forma wiersza trzynastozgłoskowego jest skażona licznymi usterkami. Wiersz gładki i ładny znajdziemy dopiero w dalszej części poematu, gdzie następuje przeskok do lepszej i kształtniejszej formy wiersza o ośmiu zgłoskach.

A teraz dajmy posłuch dyskursowi dwóch przyjaciół:

— Insze rzeczy przebaczyć jak tak, ale tego
Wiem, że się nie godziło! Trzeba było skarać!
— Karać trudno tam, kędy powszechne przestępstwo,
Trudno, kiedyby wszystkich... — *Sed poena ad paucos,*
Mctus vero ad omnes.

— Cóż, kiedy ci „pauci“
Siła za sobą ciągną! A ich „nie pozwałam!“
Gdy wszystko może, łąco i prawa przemoże...
— To już tak wolno będzie, jako mówią, wszystko

Rząd, prawo i zwierzchność wywrócić?
— Czy wolno?
Prawie dobrze. Na przykład na sejmie każdemu
Wolno zgubić ojczyznę.

— Jakoż to?

— Bo wolno

Niepozwoić obrony, nie dać mówić o niej,
Nad dobrem pospolitem mścić się swej urazy,
Pretekstem prawa swojej dochodzić prywaty,
Sejm zamieszać, nakoniec wolno i rozerwać,
Zwłaszcza, gdy całość wszystka Rzeczypospolitej
W dyskrecyi jednego jest posła z Upity...
I dosyć na zgubę jej jeden albo głupi,
Albo zły i przewrotny — gdy go kto przekupi!
— A gdy co sejm uchwali, czy wolno nie słuchać
Ani podlegać temu?

— Nie tylko wolno, lecz

Jest to rzecz już zwyczajna i prawie powszechna:
Gdy podatki uchwalą wolno ich nie oddać.
Pytaćby Mazurów w Łomży i Rożanej,
Gdzie nie bywało nigdy podatków na pany.
Ba, bywało! bo co ich szlachta uchwalili
To dwoje paniąteczka sobie wnet zawzięli.
Nie wspominam gdzieindziej Ichmościów Szafarzów,
Którzy po województwach na to, aby było
Podskarbach więcej, to jest tem więcej... nie powiem!
A nie widzą, że złego im mniej, tem jest lepiej!

W Atenach prowadzili skarbowi złodzieja
Do sądu, a filozof, zobaczywszy, rzecze:
„*Videte, unum multi fures ducunt!*“

— Aleć

Ja znowu pytam przecie:

A wolnoż wziąć pieniądze na zaciąg, — nie stawić
I trzeciej części?

— Wolno; a zwłaszcza piechoty

Niemieckiej lub dragonów albo i rajtarów.

— Ale zasług odsądzą?

— Ej nie, jako żywo!

— Pytam dalej, czy wolno, kiedy hetman każe
Iść na podjazd, — nie chodzić?

— Nie wolno. Lecz wolno

Poszedłszy, nie nie sprawić i nieprzyjaciela
Nie szukać tam, kędy jest, ale albo w prawo
Obrócić, gdy on w lewo, albo kędy zapaść
Na dni kilka, a potem wróciwszy się, mówić:

„Nie masz nieprzyjaciela“.

— A gdy się nieprzyjaciel nazajutrz pokaże,
To z tego nic?

— Nie rzeką i przykrego słowa,

— A gdy każą pod gardłem, aby język przywiódł?

Rzadko tak rozkazują, a lubo przykażą,

Przecież, choć nie przywiedziesz, za to cię nie skarzą.

— Ach, niestetyż, mój Boże na taką niekarność,

Którą pewnie zginiemy, bo przez nią hetmani

Są właśnie malowani.

— Cóż chcesz czynić?

— Tuże

Trzeba niemalowanych.

— A kędyż ich szukać?

— Tam, gdzie najmniej pozor. Wszak prosta łacina:

„*Quo minime speras gurgite, piscis erit*“.

— Chyba jeśliś się ty chciał tego podjąć?

— Już ty sobie drwij, jako chcesz; niejedem nim słynie,

Co mu przystojniejsza siedzieć¹⁾ przy kominie

Lub Michałki rachować, niż regimentować...

Nie potrzebujemy, zdaje się, wskazywać na trafność i słuszność uwag, zawartych w przytoczonym wyżej ustępie. Jeżeli pod koniec, gdzie mowa o wielkim braku karności wojskowej, jest cokolwiek przesady, to nie można z pewnością zrobić autorowi takiego zarzutu za ostre słowa o bezładzie obrad sejmowych

¹⁾ Tu użył autor innego wyrazu, bardzo trywialnego, któryśmy odmienili.

i o częstem ich zrywaniu, które tak dobitne znajdują poparcie w najświeższym przykładzie sejmu z r. 1652.

Historyk wojen kozackich z prawdziwem zajęciem odczyta wpleciony w tok tych smutnych rozmyślań nieco dłuższy ustęp prozaiczny, gdzie satyryk nasz zastanawia się, „dlaczego tak źle dotąd ta z Kozaki wojna prowadzona“. Przytacza ośm przyczyn, zawierających w sobie krytykę ówczesnej taktyki wojennej. Jeśli który, to ten fragment satyry najwięcej mógłby przemawiać za tem, że autorem jej był jakiś były żołnierz, bo znać tu pióro praktyka, co rozumie się i na sztuce robienia bronią i na rozlicznych sposobach wojowania.

Powróciwszy znowu do formy wierszowanej, uderza satyryk wreszcie i na sam dwór królewski, ganiąc mu, że zamiast mieć na pieczy sprawy publiczne Rzpltej, bawi się w pokątne intrygi i plotki. Czyni to tak zręcznie, że majestatu królewskiego nie tyka; a występuje głównie przeciw tym dworakom, co dla łaski królewskiej gotowi wyrzec się sumienia i czci własnej. Kreśli przytem niezły typ totumfackiego, dając mu oryginalny przydomek *vielzuschaffen*. Jest to:

Człowiek taki, co spraw ma siła, ale poruczonych,
Sam im zabiegać umie, czeka, zwietrzy prędko,
Wszędzie ucha nadstawi, wszędzie się wsznuruje.

Wśród tej „potocznej rozmowy“, — jak autor swoją rzecz nazywa, — dostaje się tu i owdzie niemało razów także i księżom. Skarży się nasz satyryk głównie na upadek moralności wśród duchowieństwa.

Ale czas już zapytać, czy ten ostry sędzia, który wszędzie znajdzie coś do zganienia lub wyśmiania, sam jest na tyle dojrzałym, aby stworzyć sobie jakieś wzory i ideały, mogące posłużyć za miarę dla ludzi i ich czynów, czy okazując niezadowolenie z faktycznego stanu rzeczy, umie wskazać, jak być powinno i dlaczego właśnie tak, a nie inaczej? Na to pytanie nie zawsze znajdujemy w satyrze odpowiedź wystarczającą. Ale że nie zbywa w niej na ustępach, które świadczą, iż autor potrafi gdy zechce, określić wcale jasno swoje wymagania, dowodem tego między innymi, jest trafnie i udatnie nakreślony w pierwszej części książeczki typ dobrego wodza:

„Naprzód trzeba się starać o wodza dobrego.
Póki tego nie będzie, wojska gromadnego

I by największe siły próżno zbierać, ani
Się nimi ubezpieczać, gdy błazen hetmani...
Ażebyś dobrze wiedział, takowego do tej
Mieć potrzeba przysługi, coby te przymioty
Miał: Naprzód umiejętność doświadczoną, potem
Vigor jakiś umysłu, a po trzecie złotem
Nieprzeplaconą czułość i niepopędliwą
Opatrzność raczej, niżli częstokroć szkodliwą
Odważę nierozmyslną bez wszelkiej uwagi;
Po czwarte, trzeba jeszcze u wojska powagi
I bojaźni żołnierza, którą wprzód sprawuje
Reputacya wielka, zaś gdy nie folguje,
Z tym surowość. To grzeczna, gdy uwagą swoją
Sprawi, że go kochają, a oraz i boją.
Prócz tych przymiotów trzeba mieć jeszcze prawdziwą
Chęć ku dobru ojczyzny szczerą i życzliwą.
Bo jeżeli dla samej tylko ambicyi
Podejmie się ktokolwiek królewskiej funkcyj,
Sobie kontempt przyniesie, a ojczyźnie zgubę!
Zgoła, nie wiele mówiąc, kto chce wojska wodzić,
Trzeba się — jednym słowem — do tego urodzić.

Ładny ten ustęp może posłużyć zarazem za przykład, że autor w chwilach szczęśliwszych umie się zdobyć na wiersz gładszy i o wiele lepiej wykończony, niż zazwyczaj.

(Dokończenie nastąpi.)

Dr. WIKTOR CZERMAK.

NIEZNANA SATYRA POLSKA

Z XVII WIEKU.

(Dokończenie.)

A teraz przejdziemy do najciekawszej i najbardziej oryginalnej części satyry, której przedmiotem jest klęska piławiecka. Tu z treścią i forma wiersza się zmienia: wszystko idzie w jakimś tempie żywszem, przyspieszonym. W tym opisie haniebnej ucieczki, barwnym i potoczystym, zawiera się zarazem sąd o niej poważny i surowy: nie brak i wyraźnych alluzyj do współczesnych osobistości, które mają tę ważną zaletę, że słuszności im zaprzeczyć nie można. Jeżeli czego żałować wypada, to tego, że część ta nie stanowi odrębnej, jednolitej całości, że poprzerywana jest dosyć niezręcznie powplatanymi wywodami w prozie, które efekt poematu nieco osłabiają. Co prawda, nie ma tam tych ustępów nazbyt dużo, tak że je można po największej części bez wielkiego uszczerbku dla treści pominąć.

Autor zaczyna trochę po homerowsku, krótką charakterystyką przedmiotu satyry:

Wojnę głoszą rytmy moje,
W której szabli ani zbroje
Ledwie co potrzeba było:
Wszystko się tam odprawiło
Bez strzelby, bez arkebuzów,
Bez wzajemnych nawet guzów.

I potem, zastrzegłszy się, że nie ma zamiaru dawać opisu szczegółowego, lecz jedynie szkic ogólny, przystępuje wprost do opowiadania :

Aleć powieść gdy zaczynam,
Tego wprzód nie przepominam,
Jak się długo wybierali,
Nim strojów podostawali,
Nim szyszaki zgotowano,
Które z srebra snąć kowano...
Zgoła, to wszystko staranie
Przez tak długie wybieranie
Było, aby szumno, strojnie
Popisać się na tej wojnie.
Było podno takich wiele,
Ze mniemali, że wesele
Albo więc wjazd do Krakowa
Będą odprawować. Owa
Nie tak gach na gody swoje
Sposabia się w różne stroje,
Jako ci mili rycerze
Krawce, aftarze, szmuklerze
I złotniki zatrudnili.
A gdy się tak wystroili,
To sobie wzajem mówili:
„Jak się tylko pokażemy,
„To Kozaków wystraszymy!“
Ba, podobno przychęcicie
I na dostatki zwabicie!

W dalszym ustępie prozaicznym mowa jest o nieładzie w wojsku i w czasie pochodu, o swawoli żołnierzy i niezdarności wodzów. Bez należytego przejścia, w dosyć nagłym przeskoku wprowadza nas zaraz potem satyryk na pole klęski pod Piławcami, przesuując przed oczyma czytelników scenę za scenę w rysach pospiesznych, ale wyrazistych i dobitnych.

Zawołano: „Tatarowie!“
Aż moi w nogi panowie:
I kopie porzuciwszy,
I ledwie szabel dobywszy,
Wszyscy prawie tył podali,
Zgoła, brzydko uciekali.
Osiński z tej strony błota
Woła: „Takaż to ochota!
„Wróć się, bogdaj cię zabito,
„Bo cię pewnie spotka i to!“

Gibfajer wtem knechtom rzecze:
 „Niech ten ginie, co uciecze!“
 Lecz tym strachem nie nie sprawi:
 Niejeden się przez staw pławi,
 Ci przez groblę spiesznie myją,
 Drudzy wodę błotną piją,
 A ten zasię lepiej płynie;
 Rzadko który szablą ginie...

„Tak ci było, tylko dołożyć, jako im głupio i niepotrzebnie na tę tam stronę przeprawy pod nieprzyjaciela iść kazano, gdzie posiłku mieć nie mogli. Zaczem, że ustąpić musieli, nie ich, ale regimentarzów wina, głupstwo i nieuwaga. Wspomnię to, a tymczasem słuchaj:

„Na to gdy wojsko patrzyło,
 Prawie na poły zedrwiało...
 Tchórz obleciał naprzód panów,
 Komisarzów i hetmanów.
 Już i znaki te zwiniono,
 Które za nami noszono,
 Już coś cicho postępują,
 Wzajemnie się upatrują
 Jednąż myślą, ale tają,
 Pilne oko na się mają.

W noey jeszcze wieść płonnego
 Strachu przyszła z Połonnego,
 Że są pewni Tatarowie,
 Których liczbę jeden powie
 Kiedy najmniej sto tysięcy,
 A drugi łże jeszcze więcej.
 Trwoga roście...

W tem hetmani,
 Widząc, że ich każdy gani,
 „Zwołać — rzeką — nie zawadzi
 „Komisarzów. Niechaj radzi,
 „Kto lepiej nad nas rozumie,
 „Albo raczej tylko umie
 „Dyskurować. Obaczemy
 „Wnet, co w tym razie umiemy!“

Którą radę, gdy zaczęli,
 Wszyscy obóz naganiali,
 I w tem zgodne zdanie dali,
 By żołnierze uciekali.
 Bo lub' słowy pokrywali
 I „odwodem“ nazywali,

Jednak właśnie w samej rzeczy
 Wszech była myśl o ucieczy.
 Mówią: „Pod Konstantynowem
 „Obozem staniemy nowym,
 „I tam dopiero uznamy,
 „Co wzdy dalej czynić mamy!“

.
 Lecz jak się z miejsca ruszyli,
 Zaraz się mięszać poczęli.
 A tak, uznawszy to jawnie,
 Że uchodzić trudno sprawnie,
 Konie jęczyć poczynali,
 A szepecąc, na się patrzali.
 Tęskno paniąt narzekają,
 Myśl już wszyscy w drodze mają,
 Radby drugi mknął nieznacznie,
 Tylko czeka, że kto zacznie.

A potem, gdy przyszło do ucieczki, każdy naturalnie utrzymywał, że ustąpił z pola ostatni, składając winę inicjatywy na drugiego. To też autor sam mimo chęci nie umie wskazać, kto dał początek złej sprawie. Tłómaczy się, że nie mógł znikąd zacerpnąć pewnych danych, bo „prawdę królowi mówimy, sobie wszystko przebaczymy!..“

Wracając się do zaczętej
 Powieści:

Kiedy z panięty
 Pierzchnęło ludzi niemało,
 Drugim się czekać nie chciało.
 Twardym mrokiem się skupili
 Trzej wodzowie, gdzie też byli
 Pułkownicy, komisarze,
 Więc co przedniejsi usarze,
 Ba i panowie, co chcieli
 Dowodzić, — wtenczas zekpieli...
 Stąd stanęła prędko rada,
 A zaprawdę, że nie lada!
 Mówi jeden, że zginiemy,
 Gdzie wojska nie uwiedziemy,
 A tak i dnia nie czekajmy,
 Komunikiem uciekajmy!
 Mileżą drudzy, a milezenie
 Jest im zgodne zezwolenie.
 Nie nie dbają na sromotę,
 Tylko jeden, że piechotę

— Powiedział — pewnie zgubimy
 I armatę utracimy;
 Ale drugi, co gotować
 Lepiej umiał, niż wojować
 Odpowiedział: „Mniejsza strata
 „Ojczyźnie wszystka armata,
 „I zguba ludu pieszego,
 „Niż krwi stanu szlacheckiego!“

Najlepszym jest obraz samej ucieczki, który teraz następuje:

„Wszystkim hałas daje puchu,
 Właśnie tak, jako gdy „hu hu!“
 Zwykle na wilki wołają,
 Gdy przede psy uciekają.
 Za nowym regimentarzem
 Wodzem, z nimi komisarzem,
 Jadą spieszno i panowie,
 Waleczni bohaterowie,
 Jedzie rycerstwo co żywo,
 Niemcy, dragoni... Nie dziwo!
 Gonią wodzów, pułkowników,
 Rotmistrzów i poruczników.
 Uchodząc, siłę szeptali
 Do siebie, bowiem mniemali,
 Że za nimi Tatarowie:
 Jak się to głosem ozowie
 Trwoga, bojaźń i strach srogi,
 Przyprawia skrzydła do nogi;
 Ktoby krzyknął: hała! hała!
 Duszaby go odbieżała...

Nie cięży brzuch, ani saddo;
 Choć się cały dzień nie jadło,
 Ani spało przez dwie noce,
 Dostyc jest sił, dostyc mocy...
 I ten zasię panicz chudy,
 Że nie tak osędniał udy,
 Pędzi skoczno albo leci,
 A za nimi, kłusąc, trzeci
 Mówi: „Ręka nas dotknęła
 „Pańska i rozum odjęła!“
 Takto więc zawsze mówimy,
 Kiedy co sami pokpimy!

.

.

Więc na zły rząd narzekali
 Ci, co wspólnie uciekali.
 Stanąć było samym, ani
 Uchodzić, chociaż hetmani
 Uciekli, lecz ohamować
 Wojsko i regimentować!
 Aleć woleli do Lwowa
 Raczej, niż Konstantynowa...

Tu następuje jeszcze opis narad lwowskich zdzierstw, których ofiarą padli mieszkańcy miasta, kiedy zabrakło pieniędzy na opłacenie wojska. Na tym opisie kończy się opowieść o klęsce piławieckiej.

Wiersz ośmiozłóskowy przemienia się znowu w dawny trzynastozłóskowy, i w tę to wznowioną już formę ujął autor kilka poważnych refleksji nad smutnymi dziejami płonnej wyprawy, stanowiących niejako zamknięcie tej części satyry:

„To masz moje fragmentum wojny piławieckiej.
 Powiedzże, każesz dokończyć?

— Nie tylko

Radzę, ale i proszę, mój kochany bracie!

— Dokończę.

— A dokończywszy, podaj między ludzi:

Niech się przynajmniej wstydzą, co nam wstyd i hańbę
 W oczach wszystkiego świata bezecnie sprawili,
 A podobno tymczasem wiecznie Ruś zgubili.
 Bo stąd początek złego, stąd upadły siły
 Wszystkie oraz, które w nas do ratunku były
 Ojczyzny. Śmieie rzekę, że skrzydła rozpięte
 Orła polskiego jednym nieszczęściem obcięte...
 Stąd nieprzyjaciel serce wziął, a myśmy stracili,
 I Tatarów na włosy tem samym zwabili...

Ostatnia część książeczki, pisana, podobnie jak pierwsza, na przemiany prózą i wierszem białym lub rymowanym, jest stosunkowo najmniej zajmującą, chociaż najdłuższą.

Poświęciwszy jeszcze tylko jeden niewielki ustęp Radziejowskiemu, schodzi tutaj autor prawie zupełnie z gruntu narodowego i wkracza na szerokie pole wad ogólnoludzkich. Tu i ówdzie znajdują się i w tej części drobne alluzje do rzeczy ojczytych, ale już tylko wyjątkowo, poruszone jakby mimochodem.

Dzieje żywota Radziejowskiego zajęły naszego satyryka nie dlatego, żeby na tym człowieku pragnął pokazać całą brzydotę

niepohamowanej ambicyi, przewrotności i zbrodniczej samowoli, lecz — rzecz dziwna — jedynie z przyczyny, że rozmaitość i zmienność opinii, wygłaszanych o nim i z powodu niego, nastęrczała pisarzowi sposobność do objaśnienia na przykładzie, co to jest właściwie ta opinia publiczna i jak mało na niej polegać można.

A dalej następują już same satyryczne rozpamiętywania powszednich spraw doczesnego żywota. Autor zaczyna na dobre moralizować: zastanawia się nad zwyczajnemi przywarami natury ludzkiej, rozprawia na temat chciwości, rozrzutności, fałszywej przyjaźni, zbytniego umiłowania rzeczy światowych w duchowieństwie; kreśli przytem kilka niezłych typów, między któremi do najudatniejszych wypadu policzyć typ dworaka-lizusa, umiającego ze swego stanowiska tysiączne ciągnąć korzyści. Wplecione gdzieniegdzie reminiscencye z mitologii greckiej, zastosowane dosyć szczęśliwie, urozmaicają tę część satyry, nie obfitą w rzeczy nowe i niezawodnie najmniej oryginalną.

Co tutaj najlepszego, — to kilka ustępów, wcale udatnych, zwłaszcza pod względem formy, gdzie satyryk kreśli swój ideał wiejskiego, zacisznego żywota, dalekiego od wrzawy i niepokoju szerokiego świata, którego wszeteczeństwo maluje w jaskrawych kolorach. Oto jeden taki obrazek:

Zawsze byłem i jestem tego rozumienia,
 Że do życia wczesnego i dobrego mienia
 Nie trzeba zbyt wielu zbiorów, ani wielkich włości,
 Ani na mil liczonych siła majątności.
 Wieś ma siadła w spokojnym i obfitym kraju,
 Która rzadko omyli w żyznym urodzaju,
 Dosyć ma wczasu, dosyć przyniesie wygody,
 A niemniej nad szerokich dóbr wielkie dochody...
 Mniejsze wprawdzie intraty, lecz i prace mniejsze,
 A co jest nadewszystko, życie spokojniejsze.

Nie budzi tam usługa, którą chciwość radzi,
 Która wzięta, powinność za sobą prowadzi.
 Nie trzeba biegać, jako biega pies ciekawy,
 Dla pańskiego pożytku i pańskiej zabawy,
 Bo wszystek obłów idzie panu myśliwcowi,
 Kość albo grzanka tylko biednemu wyżłowi.
 Nie potrzeba zabiegać cudzej chęci, ani
 Frasować się o łaskę pana albo pani,
 Albo u sług co bliższych, boku ich i ucha,
 Których przedany fawor jest wszystka otucha

Szczęśliwości omylnej, a zaś rozgniewanie,
Zasług, prac, kosztów strata i przemarnowanie.

Awo mogąc wystarczyć prawie dobrze sobie,
Kłania się głupi człowiek i podłej osobie,
Chciwość zbioru, wyniosłość chcąc nasycić, dziwnym
Postępkiem swojej chuci staje się przeciwnym,
Bo gubi, czego szuka, traci gotowiznę,
Spuszczając się na jakąś płonną darowiznę.
Potem, chcąc wyniosłego dostąpić honoru,
Wzgardę coraz ponosi u pysznego dworu.
Nie wspominam urazy sumienia, gdy trzeba
Dla fałszu i obłudy uchylić i nieba,
Kiedy przewrotna chytrłość cne postęпки psuje
I starożytną enotę prostotą mianuje;
Pobożność w pośmiech idzie, żartem nabożeństwo,
Pacierz, posty, ofiary — wszystko to błazeństwo!..

Z tym ustępem urywamy zarazem sprawozdanie z treści satyry. Nie takimi słowy zakonkludował swój utwór uszczypliwy satyryk, u którego na ostatniej stronnicy znajdujemy ten lakoniczny trójwiersz:

„Mówcież wy, cokolwiek chcecie;
Temu przeczyć nie możecie,
Że siła błaznów na świecie!“ —

III.

Teraz, kiedy już poznaliśmy treść książeczki, przestaje być dla nas zagadką, dlaczego autor ukrył swoje nazwisko, a dzieło wydrukował potajemnie, nie wskazawszy miejsca wydania. Przedmiot satyry był zanadto świeży, wypadki, w niej opisane, zanadto doniosłe, aby w toku opowiadania obejść się mogło bez dotkliwych aluzyj do osób znanych, a jeszcze żyjących. Wobec gorączkowej drażliwości natury polskiej wystąpić jawnie z takiego rodzaju piśmem — znaczyłoby to narazić się na niechybne prześladowanie. Cenzury urzędowej u nas wprawdzie nie było: ale wolność słowa w tych czasach anarchii chodziła już zazwyczaj w parze z siłą. Kto miał na tyle wpływu i znaczenia, że nie potrzebował się obawiać gniewu i mściwych zamachów ludzi, którzy się uważali za obrażonych lub pokrzywdzonych niesłusznie, ten mógł mówić i pisać o wszystkim bezkarnie: tem się tłumaczy, dlaczego Opaliński, możny wojewoda poznański, nie

uważał za konieczne, ukrywać się ze swoim nazwiskiem, kiedy wydawał *Satyry*. Ale biada autorowi, który odważył się wystąpić z gorzkim słowem ironii, nieokryty tą twardą tarczą własnej, domowej potęgi! Taki śmiałek nie był nigdy bezpieczny, ani pewien swego życia i mienia. Czekala go rozprawa ze wszystkimi, na których cień jakiś wynalazł: z jednostkami zarówno, jak i z całym narodem. Jeśli zemsta prywatna nie dosięgła celu, to wszczynał się „huczek“ na sejmie: obwoływano pisarza „oszczercą“ i książki palić kazano publicznie. Kto wie, czy i ta bezimienna satyra nie doznała tego losu, choć o tem w źródłach nie słyhać, — skoro jest obecnie tak nadzwyczajną rzadkością bibliograficzną? Ta ostatnia okoliczność zdaje się wyraźnie wskazywać na to, że, nie mogąc pokarać autora, wywarto zemstę na samej książce, niszcząc starannie wszystkie egzemplarze, które się udało wyłowić.

Autor umiał się jednak ukryć wybornie, skoro do dzisiaj nie znamy jego nazwiska. Kto nim był, odgadnąć nie łatwo. Że nie żaden magnat, ani człowiek wpływowy, to wynika poniekąd z powyższego wywodu. Satyryk powiada u wstępu, że miejsce drukowania zataił, „boby drukarza zabito“. Musiał więc mało ufać swemu znaczeniu i powadze, skoro nie miał pewności, czy wystarczą one na osłonięcie drukarza przed możliwem przesładowaniem.

Do jakiego stanu mógł należeć ten zagadkowy pisarz? Nie był księdzem, ani zakonnikiem, ani profesorem akademii, ani dworakiem, — bo przeciw tym wszystkim stanom występuje nazbyt gwałtownie; był może dawniej żołnierzem, bo sprawom wojennym najwięcej miejsca poświęca i pisze o nich z niezaprzeczonem znawstwem i pewnością siebie, — a w r. 1652 już tylko chyba zwyczajnym ziemianinem, gospodarującym na jakimś spokojnym zakątku ziemi; bo czyżby inaczej potrafił tak ładnie opisać to zaciszne życie wieśniaka i czyżby wskazywał na nie, jako na coś pociągającego?

Nazwiska jego szukamy napróżno. *Satyry* naszej, jako utworu literackiego, nie można odnieść do żadnego znanego pisarza, żyjącego i działającego w połowie XVII wieku. Pierwszy nasuwa się tutaj naturalnie na myśl sam Opaliński, który o dwa lata wcześniej, w r. 1650, wystąpił z czterema księgami swoich *Satyr*.

W jakim stosunku pozostaje satyra *Coś nowego* do dzieł poetycznych wojewody poznańskiego? Co do formy jest jedna do

drugich bardzo zbliżona. Opaliński używa stale, nasz autor przeważnie, trzynastozgłoskowego wiersza białego, który ma u obydwóch jednakowe wady i zalety. Jeżeliśmy naszego pisarza nazwali poprzednio lepszym rymotwórcą od Opalińskiego, — to tylko ze względu na tę część satyry, której przedmiotem klęska piławiecka, opisana lekkim wierszem rymowanym, jakiego w *Satyrach* wojewody nie znaleźć. Ale jak się ma rzecz z treścią?

Porównanie szczegółowe naszego pisemka z *Satyrami* Opalińskiego okazuje, że obaj autorowie omawiają wiele tematów wspólnych. Jeden i drugi ubolewa, „że żaden król Polakom nie wygodzi“¹⁾, jeden i drugi skarży się „na skarb i nieporządek w nim“²⁾, „na zepsowaną *militarem disciplinam* i nierząd wojskowy“³⁾, „na polski *in genere* zbytek“⁴⁾; jeden i drugi wyrzeka „na tych, co się sobie mądrymi i uczonemi zdadzą“⁵⁾, „na oziębłość naszą i nienabożeństwo“⁶⁾, „na zmyślane i farbowane przyjaźni“⁷⁾; „na obyczaję duchownych“⁸⁾ i t. d.

Co więcej, okazuje się także, że obaj autorowie zgadzają się ze sobą w opiniach z małemi wyjątkami do tego stopnia, że pod tym względem można ich nazwać istnymi braćmi siamskimi. Obaj widzą przyczynę upadku Rzeczypospolitej w powszechnej anarchii, w bezkarności nadużyć, w zaniedbaniu szacownych tradycji narodowych, w demoralizacji duchowieństwa i młodzieży; ale też obaj są jednakowymi pesymistami i patrzą przez równie czarne szkła na ludzi i czasy.

A więc, albo Opaliński jest także autorem satyry *Coś nowego*, albo autor tej ostatniej pisał pod bezpośrednim wpływem dzieł wojewody poznańskiego.

Pierwszemu przypuszczeniu musimy zaprzeczyć dlatego, że w tej zupełnej prawie równoległości pojęć u obu pisarzy znaleźliśmy jedną rażącą skazę. Oto Opaliński jest wrogiem Jezuitów, a nasz satyryk najwidoczniej im sprzyja.

1) Opal. Ks. III, sat. 2.

2) Tenże. Ks. III, sat. 5.

3) Tenże. Ks. III, sat. 9.

4) Tenże. Ks. III, sat. 10.

5) Tenże. Ks. II, sat. 7.

6) Tenże. Ks. II, sat. 8.

7) Tenże. Ks. II, sat. 10.

8) Tenże. Ks. IV, sat. 10.

Pierwszy tak wyraża się o Jezuitach w satyrze X, ks. IV :

O wychodkach Jezuickich ¹⁾ co rzekę, którymi
Jezuici zasmradzają świat, bo pewnie od nich
Nie wyszłoby nic, coby się przydać mogło!

Na bardziej trywialne i lekceważące wyrażenie chyba trudno było się zdobyć! Nasz autor tymczasem, na podupadłe moralnie duchowieństwo do tego stopnia zawzięty, że nie przepuszcza ani prostym zakonnikom, ani uczonym profesorom akademii, jedynych Jezuitów pozostawia nietkniętych słowem szyderstwa :

„Jezuici zaś chudzięta, że uczyć nie wolno,
Nabożeństwem się bawią i medytacją,
I przyznać im to trzeba: usługą duchowną.

Niepodobna przecież, aby jedno i drugie zdanie wyszło z pod pióra jednego i tego samego człowieka.

Po drugie: w naszej książce najsurowszego i najbardziej bezwzględного sądu doznała kłeska piławiecka. Czy poważyłby się o niej tak namiętnie i zgryźliwie pisać Opaliński? Nie mógł on pominąć milezieniem tej hańby, skoro wziął sobie za zadanie, wszystkie wrzody na ciele narodu odsłonić; napomknął przeto także i o Piławcach w satyrze III., ks. Iszej; ale napomknął tylko kilkoma słowy, jakby mu sumienie własne nie pozwalało długo o niej rozprawiać. Bo też jest rzeczą prawie niezawodną, że był on sam jednym z uczestników haniebnej wyprawy. Nie mamy na to wskazówek źródłowych; ale przecież niepodobna, aby wojewoda poznański nie stanął z pospolitem ruszeniem do tak ważnej potrzeby. A skoro na nim, jako na jednym z wodzów, ciążyła główna wina tej kłeski, więc wątpić trzeba, aby (mimo całej bezczelności tego człowieka) bezwzględny wyrok potępienia, który znajdujemy w satyrze *Coś nowego*, miał wyjść z pod jego własnego pióra.

Nie więc nie pozostaje, jak przyjąć, że ten ostatni utwór powstał pod wpływem *Satyr* Opalińskiego. Jest to możliwe i da się łatwo wyjaśnić okolicznością, że zbiór tych dzieł poetycznych pojawił się właśnie na dwa lata przed rokiem wydania naszej książeczki. Istnieniu tego wpływu przeczyć nie myślimy: pragniemy tylko określić takowemu pewne ściślejsze granice. Wi-

¹⁾ Autor ma tu na myśli wychowalców jezuickich.

doeczny jest on najbardziej w trzeciej części satyry nieznanego autora, mniej znacznie w jej początkowych ustępach, ale wszędzie przebija się tylko we wskazanej powyżej zgodności pojęć, w podobieństwie poglądów i w jednakowym doborze pojedynczych tematów, — ale nie w naśladownictwie stylu i najczęściej także nie w sposobie przedstawiania rzeczy ¹⁾. Autor stara się wszędzie o zachowanie pewnego piętna oryginalności: nawet mówiąc o tych samych sprawach, używa słów odmiennych i w odmienne satyry formy je przybiera. Dość przytoczyć jeden przykład. Obaj pisarze skreślili w swoich utworach ideał dobrego wodza. Jak go sobie wyobraża nasz autor, to wiemy już z przytoczonego w poprzednim rozdziale ustępu. Proszę porównać ten ostatni z odpowiednim ustępem w satyrze IV, księgi IIIciej u Opalińskiego:

„Nie u dworu by tego szukać, co należy
Do wojny i rzemiosła rycerskiego, ale
W obozach ludzi, a w nich nie uważać
Dostatków, ale cnotę, odwagę i rozum,
Męstwo i umiejętność, przytem doświadczenie,
Fortunę, łaskę Bożą, miłość u rycerstwa.
A jeśli taki będzie przychudszym pachółkiem,
Więc go król niech uczyni dostatnim i możnym.
Czego mu bowiem szczęście umknęło z dostatków,
To pan niechaj nagrodzi. Takimciby dawać,
Co mogą całość nosić ojezyny na sobie,
Głową i ręką robiąc, nie onym co piętą
Tylko wiercą u dworu, więcej na marmurze
Wysłużywszy, niż żołnierz w polu i na koniu!“

¹⁾ W jednym tylko miejscu udało się nam wynaleść u naszego autora uderzającą reminiscencyę z „Satyr“ Opalińskiego. U tego ostatniego czytamy w satyrze 5 ks. IIIciej:

„Diogenes widząc
Raz, a ono prowadzą złodzieja, co ukradł;
Prowadząc go chudzinę na śmierć powroзовą,
I rzecze: Patrzcie, co się dzieje: a to *magni*
Fures hunc parvum ducunt.“

W naszej zaś satyrze jest taki ustęp:

„A nie widzą, że złego im mniej, tem jest lepiej.
W Atenach prowadzili skarbowi złodzieja
Do sądu, a filozof, obaszyszy, rzecze:
Videte, unum multi fures ducunt.“

Bezstronny czytelnik przyzna, że oba te ustępy mogą stać obok siebie, jako dwa całkiem samodzielne wyrazy jednokowych poglądów: a kto wie, czy, gdyby przyszło koniecznie wybierać, nie przyznałoby się pierwszeństwa ustępowi naszego satyryka, który co do siły wyrażań i udatności formy zdaje się w tym miejscu przewyższać Opalińskiego.

Ale co zapewnia autorowi *Coś nowego* stanowisko zupełnie odrębne i niezawisłe od poprzednika na niwie literatury satyrycznej, to ta część jego książki, którą on sam uważał widocznie za najważniejszą, skoro ją pomieścił w samym środku, to jest, cały opis klęski piławieckiej. Tutaj jest nasz nieznamy na wskrós oryginalny, bo w obrobieniu satyrycznym tego przedmiotu nie miał żadnych zgoła poprzedników. Samodzielność swą posunął on w tej części aż do stworzenia osobnej formy, nie mającej wspólnego z tą, jakiej używał stale Opaliński.

Stawiając naszego autora obok Opalińskiego, nie mieliśmy bynajmniej zamiaru równać ich z sobą co do znaczenia i wartości literackiej ich dzieł poetycznych. Satyra *Coś nowego* jest utworem nazbyt nieznacznym co do rozmiarów, a treść jej główna w nazbyt ciasnych zamknięta granicach, abyśmy mogli żądać dla niej miejsca tak poczesnego w literaturze, jakie zajmują *Satyry* Opalińskiego.

Wojewoda poznański stoi niewątpliwie wyżej od nieznanego, raz, że zakreślił sobie zadanie o wiele szersze, odmalowania stanu moralnego Rzeczypospolitej w zupełnym obrazie, i wykonał je wszechstronnie i nieomął wyczerpująco (czy także zgoła z prawdą i sprawiedliwie, nie chcemy tutaj przesądzać), — a potem, że w każdym razie służył autorowi naszemu przynajmniej do pewnych granic za pierwowzór, względem którego ten ostatni nie umiał zachować całkowitej niezawisłości.

Jako dzieło literackie jest satyra *Coś nowego* robotą o małej wartości estetycznej: zbywa jej przedewszystkiem na jednolitości, na wykończeniu i na tym wewnętrznym ładzie, który odbijając się zarówno w treści, jak i we formie, stanowi jedną z zasadniczych cech prawdziwego dzieła sztuki.

Dlatego też nie zastanawialiśmy się wcale nad kwestyą, czy ten utwór niewiadomego pochodzenia nie jest może jakimś młodocianym płodem Kochowskiego lub Andrzeja Morsztyna ²⁾.

²⁾ A. Morsztyn liczył w r. 1652 około 32, Kochowski najwyżej 22, najmniej 19 lat życia.

Mistrzowska forma zewnętrzna, którą celują poezye obu tych pi sarzy, usuwała z góry możliwość takiego przypuszczenia.

Mimo to ma nasza satyra swoje, i to pewnie nie całkiem pod rządne znaczenie zarówno dla badacza literatury, jak i dla historyka dziejów politycznych i społecznych Rzeczypospolitej: dla pierwszego, jako jedyny dotąd znany większy utwór satyryczny z drugiej połowy XVIIgo wieku, skreślony w głównej części na ściśle ograniczonym tle jednej ważnej sprawy dziejowej, dla drugiego, jako szeroki i dobitny wyraz niezawisłej, bo niezamączonej żadnymi ubocznymi względami opinii o klęsce piławieckiej i przyczynach, jakie ją sprowadziły.

Dr. WIKTOR CZERMAK.

F

6968